

Juliusz Verne



Bez  
przewrotu

Juliusz Verne

**BEZ PRZEWROTU**

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2018

Juliusz Verne  
„Bez przewrotu”

Copyright © by Juliusz Verne, 1892  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy  
Projekt okładki: Adam Brychcy  
Druk: Emil Skiwski  
Wydawnictwo: Księgarnia Teodora Paprockiego i S-ki  
Warszawa, 1892

ISBN: 978-83-8119-363-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## ROZDZIAŁ I.

— Więc pan sadzisz, panie Maston, że kobieta nie jest zdolną przyczynić się do postępu nauk matematycznych i doświadczalnych?

— Niestety, takie jest moje przekonanie, łaskawa mistress Scorbitt. Nie zaprzeczam temu, że i kobiety miały i mają wybitniejsze zdolności do tej gałęzi wiedzy; mimo to jednak sama budowa ich mózgu dowodzi, że kobieta nie może być Archimedesem ani Newtonem.

— O! panie Maston, wybacz, że zaprotestuję w imieniu naszej płci.

— Płci tem więcej uroczej, mistress Scorbitt, że nie jest stworzona do oddawania się naukom wyższym.

— Więc, podług pana, panie Maston, kobieta, patrząc na spadające jabłko, nie odgadłaby praw ciężenia, tak jak to zrobił sławny angielski uczony w końcu XVII wieku.

— Kobieta, mistress Scorbitt, widząc spadające jabłko, nie miałaby innej myśli, prócz tej, żeby je zjeść... na wzór naszej matki Ewy.

— No, widzę, że pan nam odmawiasz wszelkich zdolności do wyższych badań...

— Wszelkich zdolności?.. Nie, mistress Scorbitt. A jednak, wybacz, że zwrócę twą uwagę na to, że od stworzenia świata nie pojawiła się ani jedna kobieta, której byśmy zawdzięczali odkrycie równej doniosłości, co odkrycia Arystotelesa, Euklidesa, Keplera i Laplace'a w zakresie naukowym.

— Czy to jest powodem, byśmy z przeszłości robili wnioski na

przyszłość?

— Hm! to, co się nie stało w ciągu tysięcy lat, nie stanie się już nigdy... zapewne.

— Widzę, że musimy zgodzić się z naszym losem, panie Maston, i że jesteśmy tylko dobre do tego...

— Aby być dobrymi! — zakończył J. T. Maston.

Te ostatnie słowa wypowiedział z tą zalotną galanterią, na jaką może się zdobyć uczony, algebrą naładowany. Zresztą mistress Evangelina Scorbitt gotową była poprzestać na tem.

— A więc! panie Maston — rzekła po chwili, — każdy ma sobie zakreślone granice rodzajów pracy na tym świecie. Pozostań pan znakomitym matematykiem, jakim jesteś. Oddaj się cały bezpodzielnie zagadnieniom tego wielkiego dzieła, któremu ty i twoi przyjaciele poświęciliście swoje egzystencję. Ja będę tą „dobrą kobietą,” którą być winnam, przynosząc mu pieniężne poparcie...

— Za które przechowamy dla pani niewygasłą wdzięczność — odrzekł J. T. Maston.

Mistress Evangelina Scorbitt zarumieniła się rozkosznie, gdyż doznawała — nie dla wszystkich uczonych, co prawda, ale dla pana J. T. Maston wyłącznie — uczucia... dziwnej sympatii. Czyż serce kobiety nie jest niezgłębioną przepaścią?

Dzieło, o którym wspomnieliśmy, było w istocie niezmiernej doniosłości i jemu to bogata wdowa chciała poświęcić swoje kapitały.

Objaśnimy pobieżnie czytelnikom plan tego przedsięwzięcia i cel, do jakiego dążyli.

Ziemie północne obejmują, podług Maltebrun'a, Reclus'a,

Saint-Martin'a i innych najuczniejszych geografów:

1) Devon północny, to jest wyspy pokryte lodami na morzu Baffińskim i cieśninie Lankastra.

2) Georgię północną, utworzoną z ziemi Banka i licznych wysp, jak na przykład wyspy Sabiny, Byam-Martin, Griffith, Kornwallis i Bathurst.

3) Archipelag Baffin-Parry, obejmujący różne części lądu podbiegunowego, nazywające się: Kumberland, Southampton, James Sommerset, Boothia-Felix, Melville i inne, prawie nieznanne.

W tej całości, okrążonej przez siedmdziesiąty ósmy równoleżnik, ziemie rozciągają się na tysiącu czterechset tysiącach, a morza na siedmiuset tysiącach mil kwadratowych.

Nieustraszonym podróżnikom nowożytnym udało się przejść poza obręb wyżej wzmiankowanego równoleżnika, z kąd dotarto aż do ośmdziesiątego ósmego stopnia szerokości. Podróżnicy ci odkryli niektóre wybrzeża, leżące poza łańcuchem ław lodowych, dając nazwy przylądkom, odnogom, zatokom tych obszernych okolic, które możnaby nazwać północnymi wyżynami. Kraj, leżący z drugiej strony ośmdziesiątego czwartego równoleżnika, jest tajemnicą, nieziszczonym desideratum geografów. Nikt nie wie, co on zawiera, ziemie czy morza, w tej przestrzeni sześć-stopniowej, okrytej nieprzebytymi lodowiskami północnego bieguna.

Otóż tedy w roku 189... rząd Stanów Zjednoczonych powziął myśl całkiem niespodzianą zaproponować wystawienie na sprzedaż stref podbiegunowych, dotąd jeszcze nieodkrytych, stref, na które świeżo utworzona amerykańska kompania żądała koncesyi.

Na lat kilka przedtem konferencya berlińska sporządziła osobny kodeks na rzecz wielkich mocarstw, które pożądały cudzego dobra pod pozorem kolonizacyi i otwierania dróg handlowych. Kodeks ten jednak nie mógłby prawdopodobnie być zastosowanym w tej okoliczności, z racyi, że kraje podbiegunowe nie są zamieszkane. Wszelako, wychodząc z zasady, że to, co nie jest niczyją własnością, jest przez to samo własnością całego świata, nowe stowarzyszenie nie starało się „zabrać,” ale „nabyć,” chcąc uniknąć na przyszłość wszelkich pretensyj.

W Stanach Zjednoczonych niema projektu tak śmiałego i trudnego do wykonania, któryby nie znalazł chętnych wykonawców i pieniężnego poparcia. Mieliśmy próbkę tego w roku zeszłym, gdy klub strzelecki z Baltimore powziął myśl wysłania pocisku na księżyc, celem utworzenia bezpośredniej komunikacyi z naszym satelitą. Otóż wtedy czyż to nie ryzykowni yankesi dostarczyli znacznych sum na kosztą tej zajmującej wycieczki? A jeśli ona została doprowadzoną do skutku, czyż nie członkom wyżej wzmiankowanego klubu to zawdzięczamy? Tak, oni to narazili się na niebezpieczeństwa tego nadludzkiego doświadczenia.

Niech jaki Lesseps poda pewnego pięknego poranku projekt przekopania kanału przez całą szerokość Europy i Azji — od wybrzeży Atlantyku do morza Chińskiego, — niech jaki geniusz wszechpotężny zapragnie prześwidrować ziemię, by dostać się do pokładów krzemienia, które tam są ukryte w stanie płynnym, — niech jaki pomysłowy elektryk zechce połączyć prądy, rozpięzchłe po powierzchni globu, aby z nich utworzyć źródło niewyczerpane światła i ciepła, — niech jaki śmiały inżynier



poweźmie myśl zamknięcia w obszernych kaloryferach nadmiaru letniego gorąca, by je rozdać podczas zimy strefom, dotkniętym dotkliwym zimnem, — niech jaki znakomity hydraulik spróbuje zużytkować siłę naturalną przyptywów i odpływów morskich do wytworzenia gorąca, — niech stowarzyszenia bezimienne lub spółki handlowe potworzą się dla uskutecznienia stu podobnych projektów, — amerykanie znajdą się niechybnie na czele podpisujących się na składkę i strumienie dolarów wpłyną do kas stowarzyszeń, tak jak wielkie rzeki północnej Ameryki do fal oceanu.

Łatwo wyobrazić sobie nadzwyczajne podrażnienie opinii, skoro się rozeszła wiadomość, co najmniej dziwna, że kraje północne mają być wystawione na licytację i przysądzone najwięcej dającemu. Przytem nie zawiązała się ani jedna publiczna składka celem tego kupna, na które kapitały leżały w gotowości. Co do dalszych wydatków, przyszłość miała wykazać ich potrzebę w chwili przystąpienia do użytkowania obszaru, stającego się własnością nowych nabywców.

Zużytkować kraje podbiegunowe!... Doprawdy, myśl taka mogła powstać tylko w głowach szaleńców!

A jednak przedsiębiorstwo to było — na ile być może — poważnem.

Wkrótce rozesłano artykuły do dzienników nowego i starego ładu, do pism europejskich, afrykańskich, australskich, azjatyckich i jednocześnie do wszystkich dzienników amerykańskich. Artykuły te wzywały strony interesowane do zbadania stron dodatnich i ujemnych tej sprawy. New-York Herald miał zaszczyt najpierwej ogłosić wspomniany dokument w swych szpaltach. Niezliczeni abonenci tego dziennika mogli

wyczytać w numerze z dnia siódmego listopada następujące doniesienie, które, obiegłszy cały świat uczony i przemysłowy, najrozmaiciej było oceniane:

„Odezwa do mieszkańców kuli ziemskiej.

„Okolice bieguna północnego, objęte czterdziestym czwartym stopniem szerokości północnej, nie mogły być dotychczas użytkowane z tej prostej przyczyny, że nie zostały jeszcze odkryte.

„Rzeczywiście, najbardziej oddalone punkty, zwiedzone już przez żeglarzy różnych narodowości, są niżej wymienione:

„82°45′, do którego dotarł Anglik nazwiskiem Parry w miesiącu lipcu 1847 roku i który leży na dwudziestym ósmym zachodnim południku na północy Spitzbergu;

„83°20′28″, dokąd doszedł Markham, należący do wyprawy angielskiej pod dowództwem sir Johna Jerzego Nares, w maju 1876 r.; punkt ten leży na pięćdziesiątym zachodnim południku, na północy ziemi Grinnel;

„83°35′, do którego dotarł Lockwood i Brainard, obaj biorący udział w wyprawie amerykańskiej porucznika Greely, w maju 1882 roku; punkt ten leży na czterdziestym drugim zachodnim południku, na północnym brzegu ziemi Nares.

„Można zatem uważać kraje, rozciągające się od osmdziesiątego ósmego równoleżnika aż do bieguna, na przestrzeni sześciu stopni, jako niepodzielone pomiędzy różne państwa kuli ziemskiej i z tej zasady mogące się zamieniać na własność prywatną wyrokiem ogółu.

„Otóż, podług prawa, nikt nie powinien mieszkać na terytorium, niemającym właściciela. Opierając się na

wymienionem prawie, Stany Zjednoczone Ameryki postanowiły przeprowadzić do skutku sprzedaż owego terytorium.

„W Baltimore zawiązało się stowarzyszenie pod nazwą North Polar Practical Association, przedstawiające urzędownie związek amerykański. To stowarzyszenie zamierza nabyć wyżej wymienione kraje na mocy dokumentu, prawnie sporządzonego, który nada mu nieograniczone prawo własności nad lądami, wyspami, wysepkami, skałami, morzami, jeziorami, rzekami i strumieniami wszelkimi, z których się składa obecnie nieruchomość, leżąca na północy ziemskiej kuli, bez względu na to, czy owa nieruchomość pokryta jest nietopniejącymi nigdy lodami, czy też ogołocona z nich za nadejściem ciepłej pory roku.

„Zaznacza się, że prawo to nie może być unieważnione przedawnieniem, ani też jakiegokolwiek rodzaju zmianami, mogącemi zajść w położeniu geograficznym i meteorologicznym kuli ziemskiej.

„Podawszy to wszystko do wiadomości mieszkańców dwóch światów, wzywamy wszystkie mocarstwa do udziału w licytacji, która zawyrokuje na rzecz ostatniego i największego ofiarowującego sumę nabywcy.

„Termin licytacji jest oznaczony na trzeci grudnia roku bieżącego, w sali Auctiono w Baltimore, Maryland, Stanach Zjednoczonych Ameryki.

„Po szczegółowsze objaśnienia zwracać się należy do Williama S. Forstera, agenta tymczasowego North Polar Association, 93, High-Street, Baltimore.”

Że to ogłoszenie mogło wydać się nonsensem, nie przeczymy wcale. W każdym razie przyznać należy, że ze względu na

jasność i wyraźne określenie rzeczy nie było mu nic do zarzucenia. Zaś czyniło niesłychanie poważnem to, że rząd związkowy robił już koncesye na podbiegunowe kraje na wypadek, gdyby licytacja zrobiła go ostatecznie ich posiadaczem.

Wogóle opinia ogółu była pod tym względem podzieloną. Jedni widzieli w tem tylko nadzwyczajny „humbug” amerykański, przechodzący granice bezczelności, gdyby głupota ludzka nie była nieskończoną. Drudzy zaś myśleli, że ta propozycja zasługuje na poważne przyjęcie. Ci właśnie zwracali uwagę ogółu na to, że nowe stowarzyszenie nie odwoływało się do worka publicznego. Ono pragnęło własnymi kapitałami nabyć kraje północne, nie roszcząc żadnych pretensyj do wyciągania dolarów, banknotów, złota i srebra z kieszeni łatwowiernych, dla napełnienia niemi swej kasy. Nie! Ono nie pragnęło nic nad to, tylko, żeby własnymi funduszami zakupić ogromną nieruchomość podbiegunową.

Ludziom liczącym się z groszem zdawało się, że wymienione Towarzystwo potrzebuje tylko złożyć w sądzie akt, zastrzegający jego prawa, jako pierwszego zaborcy, a następnie przystąpić do objęcia ziem, zamiast wystawiać je na sprzedaż przez licytację. Ale w tem właśnie była trudność największa, gdyż po dziś dzień przystęp do bieguna był niemożliwy, a przynajmniej za taki uchodził. Otóż na wypadek, gdyby Stany Zjednoczone zostały nabywcami tych ziem, koncesyoniści chcieli mieć kontrakt formalny, aby nikt w przyszłości nie zaprzeczył im praw nabytych. Niepodobna było mieć im za złe tej ostrożności. Postępowali przezornie; a przyjmując zobowiązania w sprawie tego rodzaju, nigdy zbyt ostrożnym być nie można.

Zresztą dokument zawierał klauzulę, zastrzegającą mu spokój na wypadek mogących zajść kwestyj. Ta klauzula różnie przez różnych była tłumaczoną, a właściwe jej znaczenie było niezrozumiałem dla najsubtelniejszych umysłów. Była ona ostatnią i głosiła, że: „prawo własności nie mogło uleść przedawnieniu, nawet na wypadek zmian jakiegobądź rodzaju, mogących zajść w stanie geograficznym i meteorologicznym kuli ziemskiej.”

Co miał znaczyć ten ustęp? Względem jakich wypadków ubezpieczał się? W jaki sposób ziemia miała uleść zmianom, mającym związek ścisły z geografią i meteorologią, i dlaczego kraje wystawione na sprzedaż miały być w tem głównie interesowane?

— Coś w tem jest — mówili najprzezorniejsi, — widocznie coś w tem jest.

Tak więc ludzie mieli obszerne pole do domysłów, które potęgowały przenikliwość jednych, podniecając ciekawość drugich.

Gdy się to wszystko działo, jeden z filadelfijskich dzienników, „Ledger,” umieścił w swych szpaltach następujący artykuł:

„Przyszli nabywcy ziem podbiegunowych dowiedzieli się, prawdopodobnie skutkiem obrachowań matematycznych, że kometa jakaś o bardzo twardem jądrze ma uderzyć w tych czasach o ziemię, i to w takich warunkach, że to uderzenie sprowadzi zmiany geograficzne i meteorologiczne, o których wspomina wymieniona klauzula.”

Frazes był cokolwiek dłuższy, niż przystoi być frazesowi, mającemu pretensję do naukowości, ale nie wyjaśniał nic a nic. Zresztą przypuszczenie owego spotkania z kometą nie mogło

być brane na seryo przez poważne umysły. W każdym razie nie było prawdopodobnem, aby koncesyoniści zajmowali się tak dalece ewentualnością, opartą na samem przypuszczeniu.

— Czy czasem przypadkiem — mówiła „Delta” (dziennik, wychodzący w Nowym-Orleanie) — nowe Stowarzyszenie nie roi sobie, że ruch wsteczny przesilenia dnia z nocą sprowadzi zmiany korzystne dla eksploatawania wzmiankowanych krain?

— Czemużby nie, skoro ruch ten modyfikuje równoległość naszej sferoidy? — zauważył „Hamburger Correspondent.”

— W samej rzeczy — odpowiedział „Przegląd naukowy paryzki.” — Przecież Adhémarm w dziele swem „O wzburzeniach morza” wygłasza, że ruch wsteczny przesileń, w połączeniu z wiekuistym obrotem osi ziemi, przebiegającej swą zwykłą drogę, byłby w możności sprowadzić zmiany w temperaturze średniej różnych punktów ziemi i w ilości lodów, nagromadzonych pod dwoma jej biegunami.

— To jeszcze nie jest rzeczą pewną — odpowiedział „Przegląd edyburgski.” A gdyby nawet i tak było, potrzebaby dwunastu tysięcy lat, aby Vega została naszą gwiazdą polarną skutkiem wymienionego fenomenu, i aby położenie krajów podbiegunowych zmieniło się pod względem klimatycznym.

— Jeśli tak — zawyrokował kopenhagski „Dagblad,” — dopiero za dwanaście tysięcy lat będzie pora wykladać na to przedsięwzięcie. Przed upływem tego czasu zaryzykować choć „koronę” byłoby niedorzecznością!

Wszelako, jeśli było możliwem, że „Przegląd naukowy” ma słuszność wraz z Adhémarem, było prawdopodobniejszem, że North Polar Practical Association nie na zmiany, mogące wyniknąć z wstecznego ruchu przesileń, rachowało.

Jednym słowem nikt nie mógł odgadnąć, co znaczyła owa klauzula pamiętnego dokumentu i jakie zmiany przewidywała w świecie kosmicznym.

Aby się o tem dowiedzieć, może dostatecznym byłoby zwrócić się do Rady administracyjnej nowego Towarzystwa, a mianowicie do samego prezydenta. Ale ten prezydent nie był znany nikomu! Tak samo nieznani byli sekretarz i członkowie wzmiankowanej Rady. Nawet i tego nie wiedziano, od kogo pochodził dokument. Przyniósł go do biur New-York Herald a niejaki William Forster z Baltimore, trudniący się odbieraniem transportów stokfisz na rachunek domu Andrinell and Com. z Nowej-Ziemi. Widocznie był to człowiek podstawiony. Równie niemy, jak produkty, złożone w jego magazynach, nie dał się wyciągnąć na słowo żadnemu z najciekawszych i najzręczniejszych reporterów. Tak więc owo North Polar Practical Association było tak dalece bezimienne, że ani jednego nazwiska nikt nie był w stanie wymienić. Było ono szczytem bezimienności.

Jednak, jeśli twórcy tej operacji przemysłowej uparcie okrywali się tajemnicą, zato cel ich był bardzo jasno i wyraźnie określony dokumentem, rozesłanym na wszystkie krańce dwóch półkul.

W istocie, dokument opiewał jasno i wyraźnie, że Stowarzyszenie pragnie nabyć na własność część krajów północnych, odgraniczoną opisującym koło ośmdziesiątym czwartym stopniem szerokości, którego punkt środkowy zajmuje biegun północny.

Zresztą, nic nad to prawdziwszego, że ci z nowożytnych podróżników, którzy dotarli najbliżej do tego niedostępnego

punktu, Parry, Markham, Lockwood i Brainard, nie zdołali przejść poza wymieniony równoleżnik. Co zaś do innych żeglarzy, którzy robili wycieczki na morza północy, zatrzymywali się oni na szerokościach geograficznych znacznie niższych, jak na przykład: Payez w 1874, przy  $82^{\circ}15'$ , na północy ziemi Franciszka-Józefa i Nowej-Ziemi; Leout w 1870, przy  $72^{\circ}47'$ , niżej Syberyi; De Long, należący do wyprawy Janiny w 1879, przy  $78^{\circ}45'$ , w okolicy wysp, które noszą jego nazwisko. Inni, którzy przepłynęli poza Nową-Syberię i Grenlandię, na wysokości przylądka Bismarka, nie przekroczyli nawet siedmdziesiątego szóstego, siedmdziesiątego siódmego i siedmdziesiątego ósmego stopnia szerokości geograficznej. Otóż, zostawiając pewną przestrzeń wolną pomiędzy punktem np.  $83^{\circ}35'$ , do którego dotarł Lockwood i Brainard, i ośmdziesiątym czwartym równoleżnikiem, przez dokument wskazanym, North Polar Practical Association nie wdzierają się w obręb odkryć poprzednich. Jego projekt obejmował jedynie ziemię w całym znaczeniu tego słowa dziewiczą, ziemię, której nie dotknęła jeszcze ludzka stopa.

Oto jaki jest obszar tej części kuli ziemskiej, opasany ośmdziesiątym czwartym równoleżnikiem:

Od  $84^{\circ}$  do  $90^{\circ}$  jest sześć stopni, które, licząc każdy po sześćdziesiąt tysięcy, tworzą promień trzystu sześćdziesięciu mil i średnicę siedmiuset dwudziestu mil. Obwód więc ma dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt mil, a powierzchnia czterysta siedm tysięcy mil kwadratowych.

Była to więc prawie dziesiąta część Europy, nielada obszar gruntu.

Dokument, jakeśmy to widzieli, kładł nacisk na to, że te



kraje, nieznane dotąd geograficznie, nienależące do nikogo, tem samem należały do całego świata. Że większa część mocarstw nie pomyślałaby dochodzić praw swych do owych krajów, było to rzeczą możliwą. Ale należało przewidywać, że państwa ościenne — w każdym razie — zechcą uważać je jako przedłużenie ich posiadłości od strony północy i skutkiem tego upomną się o swe prawa własności. A przytem pretensye ich tembardziej byłyby usprawiedliwione, że odkrycia, dokonane w masie krain północnych, były wyłącznie owocem trudów i nieustraszonej odwagi ich rodaków. To też rząd związkowy, przedstawiany przez nowe Stowarzyszenie, wzywał ich do wykazania swych praw i zamierzał powetować ich stratę ceną, uiszczoną za kupno. Zresztą, bądź-co-bądź, stronnicy North Polar Practical Association powtarzali nieustannie: własność jest niepodzielną, a skoro nikt nie może być zmuszonym do mieszkania w ziemi, w której nie było działu, nikt również nie ma prawa sprzeciwić się licytacji tych wielkich przestrzeni.

Państwa ościenne, których prawa były stanowczo niezaprzeczone, były w liczbie sześciu: Ameryka, Anglia, Dania, Szwecya z Norwegią, Holandya i Rosya. Inne państwa mogły rościć pretensye tylko na zasadzie odkryć, dokonanych przez ich żeglarzy i podróżników.

I tak: Francya mogłaby wystąpić z prawami z racyi, że kilku jej synów brało udział w wyprawach, których celem było zdobycie krajów podbiegunowych. Mogła wymienić między innymi tego odważnego Bellota, zmarłego w 1853 r., w okolicach wyspy Beechey, w czasie wyprawy „Feniksa,” wysłanego na poszukiwania Johna Franklina. A czy podobna zapomnieć doktora Oktawiusza Pavy, zmarłego w 1884 r. koło

przyłodka Sabine, podczas pobytu misji Greely w forticy Conger? A wyprawa 1838 roku, która zagnała aż do mórz Spitzbergu Karola Martin, Marmiera, Bravais'go i ich śmiałych towarzyszy — czyż nie byłoby rażącą niesprawiedliwością pominąć ją milczeniem? Mimo to wszystko, Francja nie uznała za właściwe mieszać się do tego przedsięwzięcia, bardziej przemysłowego, niż naukowego, i zrzekła się swej części przysmaku, na zjedzeniu którego inne mocarstwa mogły sobie zęby połamać. Być może, że miała rację i postąpiła słusznie.

To samo było z Niemcami. Miały one na swych aktywach, zacząwszy od roku 1671, wyprawę hamburgczyka Fryderyka Martensa do Spitzbergu, a w roku 1869–70 wyprawy „Germanii” i „Hanzji” pod dowództwem Kolderweya i Hegemana, którzy dotarli aż do przyłodka Bismarka, okrążywszy wybrzeża Grenlandyi. Pomimo jednak przeszłości, zaznaczonej tak znakomitemi odkryciami, niemcy nie pragnęli zwiększać swych posiadłości przyłączeniem części północnego bieguna.

Tak samo było i z Austro-Węgrami, aczkolwiek te już były w posiadaniu ziem Franciszka-Józefa, położonych na północ wybrzeży syberyjskich.

Co zaś do Włoch, nie mając żadnych danych do wystąpienia z swemi prawami, nie wystąpiły — co niejednemu wyda się zupełnie nieprawdopodobnem.

Byli jeszcze samojedzi z azyatyckiej Syberyi, eskimosi, rozproszeni głównie na ziemiach północnej Ameryki, mieszkańcy Grenlandyi, Labradoru, Archipelagu Baffin, Parry, wysp Aleuckich, ugrupowanych pomiędzy Azyą i Ameryką, nakoniec tak nazwani czukcy, zamieszkujący półwysep Alaski, stanowiący własność amerykańską od roku 1867. Ale te

plemiona, istotni krajowcy, niezaprzeczenie najdawniejsi mieszkańcy pasów północnych, nie byli godni mieć głosu w tej kwestyi. A potem, w jaki sposób ci biedacy mieli brać udział w licytacyi, wywołanej przez North Polar Practical Association? Czem zapłaciliby sumę oznaczoną, chociażby ona była jaknajlichszą? Muszlami, zębami morskich koni, lub olejem z cieląt morskich? A jednak mieli oni niejakię prawa, jako pierwotni mieszkańcy, do tych obszarów, mających być wystawionemi na sprzedaż. Ale ktoby tam zważał na jakichś eskimosów, Czukczów lub samojedów!... nie spytał nawet nikt o nich.

Tak się to w świecie dzieje!

## ROZDZIAŁ II.

W którym delegaci angielski, holenderski, szwedzki, duński i rosyjski mają zaszczyt przedstawić się czytelnikowi.

Wiadomy dokument zasługiwał na odpowiedź. W istocie, jeśliby nowe Stowarzyszenie nabyło kraje podbiegunowe, kraje te stałyby się koniec końcem własnością Ameryki, a raczej Stanów Zjednoczonych, których związek, pełen sił żywotnych, dąży nieustannie do wzrostu i potęgi. Już kilka lat temu ustępstwo ziem północno-zachodnich, poczynszy od północnych Kordylierów do cieśniny Behringa, zrobione przez Rosyę na rzecz Stanów Zjednoczonych, zwiększyło je o piękny kęs ziemi. Można więc było przypuszczać, że inne mocarstwa nie będą patrzeć przychylnem okiem na to przyłączenie krain północnych do rzeczypospolitej skonfederowanej.

Wszakże, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, rozmaite państwa

Europy i Azji, niegraniczące z zakwestyjonowanymi krainami, odmówiły swego współudziału w tej szczególnej licytacji, której wynik wydawał się im arcy wątpliwym. Jedynie mocarstwa, których krańce zbliżone były do ośmdziesiątego czwartego równoleżnika, postanowiły zaznaczyć swe prawa przez wdanie się wysłanych na ten cel delegatów urzędowych. Zresztą, jak zobaczymy w dalszym ciągu, mocarstwa te nie miały zamiaru łożyć na to kupno zbyt wielkich sum, gdyż objęcie go w posiadanie możeby się okazało niemożliwym. Jedną tylko Anglią, nigdy nienasyconą, otworzyła upoważnionemu przez siebie do działania agentowi znaczny kredyt. Nie omieszkajmy dodać, że nabycie krajów podbiegunowych nie zagrażało bynajmniej równowadze europejskiej i nie mogło spowodować jakichkolwiek zakłóceń międzynarodowych. Pan Bismarck, wielki kanclerz pruski, żył jeszcze w owej epoce i nie zmarszczył nawet swych gęstych brwi Jowiszowych na wieść o tej całej sprawie.

W sprzeczności z interesem Stanów Zjednoczonych stawały do licytacji za pośrednictwem taksującego komornika w Baltimore — Dania, Szwecya z Norwegią, Holandya, Rosya i wspomniana już Anglia. Najwięcej dający miał dostać w posiadanie tę łupinę lodową bieguna, której wartość w ocenieniu kupieckim była co najmniej zagadkową.

Wymienimy powody, dla których powyższe państwa europejskie pragnęły, aby licytacja wypadła na ich korzyść.

Szwecya, będąc wraz z Norwegią posiadaczką przyłodka Północnego, położonego poza siedmdziesiątym równoleżnikiem, nie kryła się wcale z swymi pretensjami do obszernych przestrzeni, rozciągających się aż do Spitzbergu, a nawet

i dalej, do samego bieguna. I w istocie, czyż norwegczyk Kheilhou i znakomity szwed Nordenskiöld nie przyczynili się do postępu geografii w tych stronach? Nikt temu zaprzeczyć się nie poważy.

Dania mówiła ze swej strony, że, będąc już panią Islandyi i wysp Feroe, będących już prawie na linii koła biegunowego, posiadając osady najbardziej na północ posunięte, takie, jak wyspa Disko w cieśninie Davis, osady Holsteinburg, Proven, Godhavn, Upernavik w morzu Baffińskim i na wybrzeżu zachodnim Grenlandyi, miała poważne prawo do zakupienia krajów północnych. Przytem sławny żeglarz Behring, rodem duńczyk, przepłynął w roku 1728 cieśninę, która nosi jego imię, a w trzynaście lat potem zginął marnie na brzegach wyspy tegoż nazwiska wraz z trzydziestu ludźmi, którzy tworzyli jego załogę. Na wiele lat przed tem, w roku 1619, żeglarz Jan Munk zwiedził wschodnie wybrzeża Grenlandyi, odkrywając kilka miejscowości, zupełnie przed nim nieznanych.

Co zaś do Holandyi, dwóch jej marynarzy, Bareutz i Heemskerk, zwiedzili Spitzberg i Nową-Ziemię w końcu XVI wieku. Jednego z jej dzielnych synów, Jana Mayen, śmiała w 1611 roku wycieczka na północ przyniosła w korzyści jego ojczyźnie wyspę tegoż nazwiska, położony poza siedmdziesiątym pierwszym stopniem szerokości geograficznej. Jak widzimy, przeszłość Holandyi była niejako zobowiązaniem na przyszłość.

Co zaś do rosyjan, ci z Aleksym Czirikowem na czele i Behringiem, pod jego rozkazami, posunęli się aż poza granice morza Lodowatego. Kapitan Marcin Spanberg i porucznik William Walton, należący do tej wyprawy, puszczając się w te

nieznane okolice, przyczynili się wielce do poszukiwań, robionych nawskróś cieśniny, która dzieli Azyę od Ameryki. A przytem samo położenie obszarów sybirskich, rozciągających się na stu dwudziestu stopniach szerokości, aż do krańcowych granic Kamczatki, wzdłuż wybrzeży azyatyckich, na których żyją samojedzi, jakuci, czukcy i inne ludy, będące pod władzą Rosyi, sprawia, że ona panuje co najmniej nad połową Północnego oceanu. Przytem posiada na siedmdziesiątym piątym równoleżniku, może w odległości dziewięciuset mil od bieguna, wyspy i wysepki Nowej Syberyi, odkryte na początku XVIII wieku. Nakoniec w roku 1764, uprzedzając anglików, amerykańców i Szwedów, żeglarz Cziczagow szukał przejścia na północy, chcąc skrócić drogę pomiędzy dwoma lądami.

Jednak, obrachowawszy wszystko ściśle, zdawałoby się, że najwięcej interesowanymi w nabyciu tego niedostępnego punktu kuli ziemskiej byli amerykanie. Oni również nieraz usiłowali dostać się tam, narażając życie przy poszukiwaniach Franklina, wraz z Grinnelem Kane, Hayesem, Greelym De Long i innymi śmiałymi żeglarzami. Oni także mogli rościć pretensye na zasadzie położenia geograficznego ich kraju, rozciągającego się aż poza koło biegunowe, zaczawszy od cieśniny Behringa, aż po zatokę Hudson.

Wszystkie te ziemie, wszystkie te wyspy: Wollaston, Księżę Albert, Wiktorya, Król Wilhelm, Melville, Cockburne, Bauks, Baffin, nie licząc tysiąca wyseppek tego archipelagu, były jakby przedłużeniem ich posiadłości, łączącym ich z dziewięćdziesiątym stopniem. A przytem, jeśli biegun północny wiąże się z lądem nieprzerwanym ciągiem ziem, ziemie te zdają się być prędeziej przedłużeniem Ameryki, niż Azyi

lub Europy.

Nic nad to naturalniejszego, że propozycja kupna była zrobiona przez rząd związkowy na rzecz amerykańskiego stowarzyszenia; a jeśli które z mocarstw miało niewątpliwe prawa do posiadania krajów podbiegunowych, to stanowczo były niem Stany Zjednoczone Ameryki.

Przyznać wszakże należy, że państwo Wielkiej Brytanii, posiadające Kanadę i Kolumbię angielską, którego liczni marynarze odznaczyli się w wycieczkach na północ, nie bez pewnej gruntownej podstawy pragnęło przyłączyć tę część kuli ziemskiej do swego obszernego kolonialnego państwa. Dzienniki angielskie rozprawiły o tej kwestyi długo i zapamiętale:

„Tak! zapewne — mówił wielki angielski geograf Kliptringan w artykule Timesa, który niesłychane zrobił wrażenie, — tak! szwedzi, duńczycy, Holendrzy, rosyjanie i amerykańanie mogą się, jeśli to im dogadza, popisywać swemi prawami. Ale Anglia nie może bez ujmy honoru narodowego zezwolić, by kto inny posiadał te kraje. Czyż północna część nowego lądu nie należy już do niej? Ziemie wyspy, które ją składają, czyż nie przez jej własnych podróżników odkryte zostały?... zacząwszy od Willonghiego, który zwiedził Spitzberg i Nową Ziemię w 1739 r., a skończywszy na dzielnym Mac-Clure, którego okręt opłynął w 1853 r. północno-zachodnie wybrzeże?”

„A potem — wygłosił Standard piórem admirała Fizé, — czyż Frobisher, Davis, Hall, Weymouth, Hudson, Baffin, Cook, Ross, Parry, Bechey, Belcher, Franklin, Mulgrave, Scoresby, Mac Clintock, Kennedy, Nares, Collinson, Archer, nie byli pochodzenia anglo-saksońskiego? Jakież kraj może mieć większe prawo do tych obszarów podbiegunowych, jeśli nie ojczyzna

tych dzielnych żeglarzy, którzy tyle trudów łożyli, żeby się do nich dostać?”

„Niech i tak będzie — odpowiedział Kuryer z San-Diego (w Kalifornii), — postawmy sprawę tę na właściwym gruncie, a ponieważ tu najwidoczniej Stany Zjednoczone z Anglią idą o lepsze, my powiemy: że jeśli Anglik Markham, należący do wyprawy Naresa, dotarł do 83°20' szerokości północnej, Amerykanie Lockwood i Brainard, biorący udział w wyprawie Greely'ego, posunęli się wyżej cokolwiek i zatknęli flagę, ozdobioną trzydziestu ośmiu gwiazdami Stanów Zjednoczonych, na 83°35'. Im więc należy zaszczyt dotarcia do pasów najwięcej do bieguna zbliżonych.”

Oto jakiego rodzaju była polemika dzienników przeciwnych stronnictw.

Do wyliczonej seryi podróżników, którzy puszczali się w okolice bieguna, wypada nam dodać Wenecyanina Cabot (1498) i Portugalczyka Cortereal (1500), którzy odkryli Grenlandię i Labrador. Wszakże ani Włochy ani Portugalia nie zamierzały brać udziału w projektowanej licytacji i nie troszczyły się o to, kto z niej będzie korzystał.

Łatwo było przewidzieć, że walka ostatecznie będzie prowadzona zapamiętane tylko przez dolary i funty-szterlingi, to jest przez Amerykę i Anglię.

Jednakże, na wniosek, zrobiony przez North Polar Practical Association, państwa, graniczące z pasami północnymi, porozumiały się z sobą za pośrednictwem kongresów handlowych i naukowych. Po krótkich debatach postanowiono stanąć na licytacji, oznaczonej na dzień trzeci grudnia w Baltimore, wyznaczając upoważnionym delegatom kredyt na



odpowiednią kwotę, której przekroczyć nie mieli prawa. Suma, podjęta ze sprzedaży, miała być rozdzieloną pomiędzy pięć państw pozostałych, jako wynagrodzenie za zrzeczenie się wszelkich praw do owych krajów.

Wszystko to nie obeszło się bez sporów, ale ostatecznie sprawa się ułożyła. Państwa zainteresowane zgodziły się, aby licytacja odbyła się w Baltimore, tak jak tego żądał rząd związkowy. Delegaci, zaopatrzeni w listy wierzytelne, opuścili Londyn, Hagę, Stockholm, Kopenhagę i Petersburg, i przybyli do Stanów Zjednoczonych na trzy tygodnie przed dniem, przeznaczonym na licytację.

W owym czasie jeszcze Ameryka była reprezentowaną jedynie przez znanego już pełnomocnika North Polar Practical Association, Williama Forstera, którego nazwisko figurowało na dokumencie z 7 listopada, wydrukowanym przez New-York Herald'a.

Co zaś do delegatów mocarstw europejskich, przedstawimy ich czytelnikom, starając się scharakteryzować każdego potrosze.

Najprzód tedy delegat, przybyły z Holandyi: Jakób Jansen, były radca stanu, lat pięćdziesiąt trzy, gruby, krótki, pleczysty, o krótkich ramionach i nogach kabłąkowatych, z niebieskimi okularami na nosie, twarzą okrągłą i mocno czerwoną, stojącą jak szczotka czupryną i faworytami siwiejącymi, pocziwy człowieczyna, zapatrujący się cokolwiek sceptycznie na przedsiębiorstwo, którego praktycznych celów nie mógł dopatrzeć.

Delegat duński, Eryk Baldenak, ex wice-gubernator posiadłości grenlandzkich, wzrostu średniego, o krzywej

łopatce, wydatnym brzuchu, ogromnej i źle przymocowanej do karku głowie, o wzroku tak krótkim, że miał nos starty od wodzenia nim po książkach i papierach, niepozwalający nikomu przyjść do słowa, gdy tylko była mowa o prawach jego kraju, który uważał za legalnego właściciela okolic podbiegunowych.

Przedstawicielem Szwecji był Jan Harald, profesor kosmografii w Chrystyanii, który był jednym z najzapaleńszych stronników wyprawy Nordenskiölda, prawdziwy typ człowieka północy, o twarzy czerwonej, brodzie i włosach koloru dojrzałego zboża, mający za rzecz pewną, że przestrzenie, będąc zalane morzem, nie miały żadnej wartości. Zupełnie zatem nieinteresowany w tej kwestyi, stawiał się na zjeździe reprezentantów mocarstw li tylko w imię zasad.

Pełnomocnik rosyjski, pułkownik Borys Karkow, napół dyplomata, napół wojskowy, słusznego wzrostu, sztywny, o sutej brodzie i wąsach, wydawał się nieswój w swem ubraniu cywilnem, szukając bezwiednie rękojeści szpady, którą kiedyś nosił, zaintrygowany mocno projektem North Polar Practical Association i mogącemi z niego wyniknąć zawikłaniami międzynarodowemi.

Przedstawiający Anglię major Donellan i sekretarz jego Dean Toodrink. Ci dwaj gentlemeni byli wcieleniem wszystkich apetytów, wszystkich aspiracyj Wielkiej Brytanii, jej instynktów handlowych i przemysłowych, jej skłonności uważania za swą z prawa natury własność wszelkich ziem północnych, południowych i równikowych, nieposiadających legalnego właściciela.

Major Donellan, pyszny typ anglika, wielki, chudy, kościsty, muskularny, śpiczasty, z ptasią szyją, głową á la Palmerston na

uciekających ramionach, z nogami długimi jak u czapli, bardzo jeszcze czerstwy mimo sześćdziesiątki, nieustrudzony, jak tego złożył dowody, pracując przy rozgraniczaniu Indyj z Birmanią. Nikt go nie widział śmiejącego się. Kto wie, może nie śmiał się nigdy w swem życiu. Bo i po co?... Czyż widział kto kiedy śmiejącą się lokomotywę, parowiec lub maszynę elewacyjną?

W tym ostatnim względzie major różnił się najzupełniej od swego sekretarza Deana Toodrinka. Dean był mowny, żartobliwy, miał dużą głowę, kręcące się włosy na skroniach, oczki małe, zmrużone. Rodem szkot, był znany w swej ojczyźnie tak ze swych krotocwilnych żarcików, jak z upodobania do wykrętów. Z tem całym wszakże ożywieniem okazywał się równie stronnym, zawziętym i nieubłaganym jak major Donellan, gdy szło o prawa i pretensye słuszne i niesłuszne Wielkiej Brytanii.

Ci dwaj delegaci byli oczywiście najzajadlejszymi przeciwnikami amerykańskiego stowarzyszenia. Podług nich, biegun północny był ich własnością: do nich należał od czasów przedhistorycznych; im, to jest anglikom, powierzył Stwórca nadzór nad obrotem ziemi wkoło osi, — to też potrafią oni wywiązać się z swego posłannictwa i nie dopuszczą, by ono miało przejść w obce, niepowołane ręce.

Wypada nam zawiadomić czytelników, że chociaż Francya nie uznała za właściwe wysłać na ten zjazd swego urzędowego delegata, to jednak pewien inżynier francuz przybył „z miłości dla sztuki,” by się przyjrzeć zblizka tej interesującej sprawie. Ukaże on się we właściwym czasie i miejscu.

Owóż tedy reprezentanci północnych państw europejskich przybyli do Baltimore, każdy innym statkiem, obawiając się

wzajemnych wpływów i pamiętając o tem, że są rywalami. Każdy z nich był zaopatrzony w kredyt, niezbędny do prowadzenia walki. Ale musimy wyznać przy tej sposobności, że nie mieli oni walczyć jednakową bronią. Jeden rozporządzał nie całym milionem, drugi sumą znacznie większą. I prawdę powiedziawszy, za nabycie części naszej sferoidy, do której przystęp wydawał się całkiem niemożliwy, każda suma zdawałaby się zawysoką. Najlepiej pod tym względem uposażonym był delegat angielski, któremu królestwo Wielkiej Brytanii otworzyło znaczny kredyt. Dzięki temu kredytowi major Donellan nie obawiał się walki ze swymi współzawodnikami — szwedem, duńczykiem, holendrem i rosyjaninem. Co zaś do Ameryki, inaczej się rzeczy miały i niełatwo można było zwalczyć ją, a raczej jej dolary. I w istocie, było bardzo prawdopodobnem, że tajemnicze stowarzyszenie ma znaczne fundusze w zapasie. Więc ostatecznie walka na miliony umiejscowi się, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią.

Wraz z wylądowaniem europejskich delegatów opinia publiczna zaczęła się roznamiętniać coraz bardziej. Najosobliwsze wieści obiegały dzienniki. Najdziwaczniejsze przypuszczenia robiono w kwestyi zamierzonego nabycia bieguna północnego. W jaki sposób chciano go zużytkować? W żaden — bo i do czego mogły się przydać nieprzejrzane lodowiska starego i nowego świata? Kto byłby w możności przejść poza ośmdziesiąty czwarty równoleżnik? Najkomiczniejsze domysły o celach tego przedsięwzięcia wygłaszał paryzki dziennik Figaro.

Wszakże delegaci, którzy unikali się wzajemnie w czasie

podróży przez ocean, zaczęli zbliżać się do siebie po przybyciu do Baltimore.

Oto dla jakich przyczyn:

W początkach każdy z nich na własną rękę i w tajemnicy przed drugimi starał się zawiązać stosunki z North Polar Practical Association. Każdy pragnął dowiedzieć się — by w danym wypadku skorzystać z tego — jakie są cele tego przedsięwzięcia i jakie korzyści stowarzyszenie spodziewało się z niego osiągnąć. Otóż nie znaleźli oni nawet śladów istnienia jakiegoś miejsca, gdzieby się zgromadzali członkowie tego stowarzyszenia w Baltimore. Ani śladu biur jakichkolwiek, ani śladu pracujących w nich urzędników. Po bliższe informacje odsyłano ich do Williama Forstera, mieszkającego na High-Street, a tymczasem ten wielce szanowny agent składów stokfiszka tyleż, zdawało się, wiedział w tej kwestyi, ile pierwszy lepszy posłaniec miejski.

Tak więc delegaci niczego zgoła dowiedzieć się nie mogli. Musieli zadowolnić się domysłami, mniej lub więcej niedorzecznymi, które puszczała w kurs publiczność. Tajemnica stowarzyszenia miała więc pozostać nieprzeniknioną dopóty, dopóki jemu samemu nie przyjdzie chętka podnieść kryjącą ją zasłonę. Niejeden łamał sobie nad tem głowę, a każdy przyszedł do wniosku, że stowarzyszenie objawi swoje cele nie prędzej, aż się stanie posiadaczem podbiegunowych przestrzeni.

Z tego wszystkiego wynikło to, że delegaci zbliżyli się do siebie, złożyli sobie wizyty, starali się wybadać wzajemnie i ostatecznie zawiązali stosunki — być może w celu utworzenia związku przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, noszącemu nazwę amerykańskiego stowarzyszenia.

Pewnego wieczoru, a było to w dniu 22 listopada, zebrali się na naradę do hotelu Wolessley, w apartamencie zajmowanym przez majora Donellan i jego sekretarza Deana Toodrink. Dążność ta do wzajemnego porozumienia się była owocem zręcznych usiłowań jednego z delegatów, nader biegłego dyplomaty.

W początkach rozmowa zawiązała się na temat celów, a raczej korzyści handlowych lub przemysłowych, które stowarzyszenie projektowało wyciągnąć z nabycia ziem północnych. Profesor Jan Harald zagaił posiedzenie zapytaniem, czy który z jego kolegów nie zdołał powziąć jakiej wiadomości w tym względzie. Wszyscy, jeden po drugim, zeznali, że usiłowali wybadać Williama S. Forstera, do którego, podług ogłoszenia, należało zwracać się po wszelkie objaśnienia.

— Nie powiodło mi się — powiedział Eryk Baldenak.

— Mnie również — dodał Jakób Jansen.

— Co do mnie — zabrał z kolei głos Dean Toodrink, — gdy się przedstawiłem w imieniu majora Donellan w magazynach na High-Street, znalazłem się oko w oko z grubasem czarno odzianym, w wysokim kapeluszu i udrapowanym w biały fartuch, okrywający go od stóp do głowy. Gdy go poprosiłem o informację co do interesu, odpowiedział mi, że okręt „South-Star” przybył właśnie z Nowej Ziemi z odpowiednim ładunkiem i że może mi służyć całym transportem świeżych stokfiszów na rachunek domu Ardrinell and Com.

— Eh! eh! — przerwał stary radca Indyj, zawsze cokolwiek sceptyczny — lepiej byłoby zakupić cały ładunek stokfiszów, znajdujący się na okręcie „South-Star,” niż rzucić pieniądze w głębię Oceanu Lodowatego.

— Nie o to rzecz idzie — rzekł na to major Donellan tonem wyniosłym i zwięzłym. — Nie mówimy tu o transporcie stokfiszka, ale o krajach podbiegunowych.

— Które Ameryka z chęcią włożyłaby do swojej kieszeni! — dodał Dean Toodrink, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Naraziłoby ją to na zakatarzenie — zawyrokował dowcipnie jeden z delegatów.

— Nie o to rzecz idzie — powtórzył raz jeszcze major Donellan, — i doprawdy nie rozumiem, co przewidywanie kataru lub zaziębienia ma wspólnego z naszą konferencją. Jest rzeczą pewną i niezaprzeczoną, że dla tej lub innej przyczyny Ameryka, reprezentowana przez North Polar Practical Association... zauważcie to słowo „practical,” panowie... otóż Ameryka chce nabyć przestrzeń czterechkroć siedmiu tysięcy mil kwadratowych, leżącą wokoło północnego bieguna, przestrzeń, określoną istotnie... zauważcie to słowo „istotnie,” panowie... przez ośmdziesiąty czwarty stopień szerokości północnej...

— Wiemy to, majorze Donellan — odpowiedział Jan Harald, — wiemy to dobrze; ale natomiast nie wiemy, w jaki sposób rzezione stowarzyszenie zamierza wyzyskiwać te ziemie (jeżeli to są ziemie) lub te morza (jeżeli to są morza) dla celów przemysłowych...

— Nie w tem leży pytanie — wygłosił po raz trzeci major Donellan. — Pewne państwo życzy przywłaszczyć sobie za stosowną pieniężną opłatą część kuli ziemskiej, która to część przez swe geograficzne położenie, zdaje się, należy wyłącznie do Anglii...

— Do Rosyi — rzekł pułkownik Karkow.

- Do Holandyi — rzekł Jakób Jansen.
- Do Szwecyi i Norwegii — rzekł Jan Harald.
- Do Danii — rzekł Eryk Baldenak.

Wszyscy delegaci przybrali postawę kogutów, gotujących się do walki, i przez chwilę należało się obawiać, że rozmowa przybierze obrót groźny dla zgodnego porozumienia się, gdy Dean Toodrink począł dyplomatycznie łagodzić:

— Moi panowie — rzekł tonem pojednawczym, — nie o to rzecz idzie, jak mówi mój szanowny zwierzchnik, major Donellan. Ponieważ w zasadzie zostało postanowione, że strefy podbiegunowe będą wystawione na sprzedaż przez licytację, otóż mają się one dostać temu z państw, przez was reprezentowanych, które zaofiaruje na ten cel najwyższą sumę. Ponieważ tedy Szwecya z Norwegią, Rosya, Dania, Holandya i Anglia otwarły kredyt swym delegatom, czyż nie lepiej by było, gdyby ci delegaci utworzyli rodzaj syndykatu, coby ich postawiło w możności rozrządzania sumą takiej wysokości, aby stowarzyszenie amerykańskie nie poważyło się z nimi stanąć do walki?

Delegaci spojrzeli po sobie. Ten Dean Toodrink wpadł, zdaje się, na dobry pomysł. Syndykat... W naszych czasach wyraz ten jest bardzo na dobie. Ludzie tak są przyzwyczajeni zawiązywać stowarzyszenia tego rodzaju, jak oddychać, jeść, pić, spać. Nic nad to więcej modnego, tak w polityce, jak i w interesach zwyczajnych.

Wszakże, ponieważ na propozycję wypadało zrobić jakikolwiek zarzut, a raczej żądać wyjaśnienia, Jakób Jansen stał się tłumaczem uczuć swych kolegów, wypowiadając następane zapytanie:



— A potem?

— Tak!... Co ma się stać po uskutecznieniu kupna przez syndykat?

— Ależ, zdaje mi się, że Anglia!... — rzekł major ostro.

— I Rosya!... — rzekł pułkownik, którego brwi groźnie się nastroszyły.

— I Holandya!... — wygłosił radca.

— Skoro Bóg dał Danię duńczykom... — zauważył Eryk Baldenak.

— Bardzo przepraszam — zawołał Dean Toodrink, — jeden tylko kraj był dany przez samego Boga! To jest Szkocya, szkotom.

— A to co znowu?... — spytał delegat szwedzki.

— Czyż poeta nie powiedział:

„Deus nobis Scotiam fecit?” —

odparł żartowniś, tłumacząc dowolnie haec otia z szóstego wiersza pierwszej sielanki Wirgiliusza.

Wszyscy parsknęli śmiechem, z wyjątkiem majora Donnellan — i spór, przybierający niepokojący obrót, po raz drugi został zażegnany.

Dean Toodrink powiedział:

— Nie sprzecajmy się, panowie... Bo i po co?... Utwórzmy lepiej nasz syndykat.

— A następnie?... — spytał Jan Harald.

— Następnie? — odpowiedział Dean Toodrink. — Nic nad to

prościejszego, panowie. Skoro się staniecie posiadaczami własności podbiegunowej, pozostanie ona albo waszym wspólnym, niepodzielnym majątkiem, albo też za pewną umówioną sumę odstąpicie ją jednemu z państw interesowanych. Tym sposobem, co najważniejsze, cel główny zostanie osiągnięty, a tym jest właśnie wyrugowanie stanowcze przedstawicieli Ameryki!

Propozycja ta miała swoją dobrą stronę — przynajmniej w obecnej chwili, — gdyż w przyszłości, i to bardzo niedalekiej, można było przypuścić, że się delegaci chwycą wzajemnie za czuby (czy tylko natura uposażyła ich odpowiednio pod tym względem?), gdy przyjdzie wybierać ostatecznego nabywcę tej nieruchomości, o którą tak się dobijano, pomimo że zupełnie nieużyteczną była. Przyrowadzeniem do skutku tej propozycji wyłączano — jak to sprytnie zaznaczył Dean Toodrink — Stany Zjednoczone najzupełniej z konkursu.

— To mi dopiero rozumna myśl — rzekł Eryk Baldenak.

— I dyplomatyczna — rzekł pułkownik Karkow.

— Dowcipna — zawyrokował Jan Harald.

— Przebiegła — rzekł Jakób Jansen.

— To pomysł prawdziwie angielski — wygłosił major Donellan.

Każdy z nich rzucił słówko, ciesząc się nadzieją, że w przyszłości wyprowadzi w pole szanownych kolegów.

— Tak więc, moi panowie — przemówił Borys Karkow, — porozumieliśmy się; i jeżeli utworzymy syndykat, prawa każdego państwa będą zastrzeżone na przyszłość?...

Wszyscy skinęli potakująco.

Pozostało teraz dowiedzieć się, jakiej doniosłości kredyt

państwa otwały swym delegatom. Prawdopodobnie kredyt wszystkich państw razem przewyższy fundusze, będące w posiadaniu North Polar Practical Association?

Pytanie to zadał Dean Toodrink.

Wbrew oczekiwaniu głucho milczenie zaległo salę posiedzenia. Nikt nie chciał odpowiadać. Ukazać ciekawym zawartość portmonetki, wypróżnić kieszenie na korzyść kasy syndykatu, objawić naprzód wszystkim, do wysokości jakiej sumy jest się w możności prowadzić licytację — nikomu nie było pilno. A jeśliby jakieś nieporozumienie zaszło pomiędzy stowarzyszonymi, tworzącymi syndykat?... A jeżeli okoliczności zmuszą ich wziąć udział w walce każdemu za własną sprawę i na własną rękę?... A jeśli przypadkiem dyplomata Karkow niezadowolony będzie z wybiegów Jakóba Jansena, a ten ostatni oburzy się na podstępne knowania Eryka Baldenak, ten znów będzie podrażniony sarkazmami Jana Haralda, zaś Harald ze swej strony nie zechce tolerować pretensjonalnej wyniosłości majora Donellan, który znowu nie zaniedba knować intryg przeciw wszystkim swym kolegom? Jednym słowem — objawić swój kredyt jest to pokazać karty wtedy, kiedy polityka nakazywała im zachowywać się jak chorym w ostatnim stopniu suchot.

Prawdę powiedziawszy, były tylko dwa sposoby odpowiedzi na słuszne ale niedyskretne pytanie Deana Toodrinka: Albo blagować i przesadzić ilość kredytu posiadanego, coby mogło się stać kłopotliwym, gdyby przyszło do wypłaty, — albo zmniejszyć ją do możliwego minimum, tak, żeby odpowiedź obrócić w żart, a całą propozycję w niwecz.

Myśl tę powziął najprzód ex-radca Indyj, który, jak wiemy,

był dość krotchwilnego usposobienia, a koledzy poszli w jego ślady.

— Panowie — przemówiła Holandia głosem swego przedstawiciela, — żałuję mocno, ale na cel nabycia krajów północnych mam do rozporządzenia tylko pięćdziesiąt rixdalerów.

— Ja rozporządzam tylko trzydziestu pięciu rublami — wyrzekła Rosya.

— Ja dwudziestu kronorami — przemówiła Szwecya z Norwecją.

— Ja zaś nie posiadam więcej nad piętnaście koron — rzekła Dania.

— A więc — rzekł major Donellan tonem, w którym uwydatniała się cała pogardliwa wyniosłość, cechująca Wielką Brytanię, — a więc strefy północne staną się waszą własnością, panowie, gdyż Anglia nie może za nie ofiarować więcej nad jednego szylinga i sześć pensów.

Na tem ironicznem oświadczeniu zakończyła się konferencya delegatów starego ładu.

### ROZDZIAŁ III.

W którym odbywa się licytacya krajów podbiegunowych.

Dlaczego sprzedaż ta, wyznaczona na dzień 3 grudnia, miała się odbyć w sali „Auctions,” gdzie zazwyczaj sprzedawano ruchomości takie, jak meble, sprzęty, narzędzia, naczynia i t. p., lub przedmioty sztuki, jak obrazy, posągi, medale, starożytności? Dlaczego, ponieważ szło tu o licytacyę nieruchomości, nie miała ona odbywać się w obecności

notaryusza, lub u kratak trybunału, ustanowionego na ten cel? Nakoniec, po co tu był wmieszany komornik, skoro sprzedać miano część kuli ziemskiej? Czyż możliwem było wziąć ten kawał sferoidy za sprzęt jakiś, i czyż nie był on najbardziej nieruchomą nieruchomością ze wszystkich nieruchomości w świecie?

To wszystko razem wydawało się nielogicznym, a jednak tak było w istocie. Całość stref północnych miała być sprzedana w tych warunkach, a kontrakt miał mieć ważność prawną. Nie było to wskazówką, że w opinii North Polar Practical Association wymieniona nieruchomość uważaną była niejako za ruchomą i jakby możliwą do przeniesienia z miejsca na miejsce? Ta zagadkowość zaciekawiała wielce niektóre odznaczające się przenikliwością umysły, a takie nawet w Stanach Zjednoczonych nieczęsto spotkać można.

Zresztą podobne obecnemu wydarzeniu było już raz w przeszłości. Część naszej planety została sprzedaną za pośrednictwem komornika na publicznej licytacji w sali „Auctions” i odbywało się to również w Ameryce.

W istocie, na kilka lat przed tem, w San-Francisco w Kalifornii jedna z wysp Oceanu Spokojnego, wyspa Spencer, została sprzedaną bogatemu Williamowi W. Kolderup, który za nią ofiarował piećkroć sto tysięcy dolarów więcej od swego współzawodnika J. R. Taskinar ze Stockton. Za tę wyspę Spencer zapłacił Imć. Pan W. Kolderup cztery miliony dolarów. Wprawdzie wyspa ta była mieszkalną, leżała o kilka zaledwie stopni od wybrzeży kalifornijskich, posiadała lasy, rzeki, grunt stały i urodzajny, pola i łąki, nadające się do uprawy, a nie była jakąś krainą nieokreśloną, przypuszczalnem morzem, pokrytem

wiekuistemi lodami, strzeżoną przez nieprzebyte lawiny i prawdopodobnie nigdy niemogącą być zamieszkaną. Z tych wszystkich danych można było wnioskować, że cena ziem podbiegunowych nawet na licytacji nie osiągnie zbyt wysokiej sumy.

Jednakże w dniu oznaczonym na licytację sama nadzwyczajność sprawy zwabiła sporą liczbę ciekawych. Walka zapowiadała się bardzo zajmująco.

Trzeba wiedzieć, że delegaci europejscy od chwili ukazania się w Baltimore byli nadzwyczajnie przez publiczność całą otaczani i poszukiwani. Ponieważ rzecz cała działa się w Ameryce, nie możemy się dziwić, że opinia publiczna była do najwyższego stopnia podnieconą. Powstawały najszaleńsze zakłady — w tej bowiem formie objawia się to podniecenie w Stanach Zjednoczonych, których przykład Europa zaczyna, niestety, naśladować. Wszakże, chociaż obywatele amerykańskiej konfederacji, Nowej Anglii, Stanów Środkowych, zachodnich i południowych, dzielili się różnorodnością zdań na grupy, to wszyscy jednak mimo to jednoznacznie dla swej ojczyzny pragnęli zwycięstwa. Wszyscy cieszyli się nadzieją, że północny biegun wywiesi flagę, zdobną trzydziestu ośmiu gwiazdami. A jednak nie czuli się oni zupełnie spokojnymi. Nie Rosya, nie Szwecya z Norwecją, nie Dania i nie Holandya nabawiały ich niepokojem, ale królestwo Wielkiej Brytanii, znane z nienasyconej żądz zaboru, ze swej dążności do pochłaniania wszystkiego, z zaciętego obstawania za chociażby urojonemi prawami, ze swych banknotów wszechpotężnych. Robiono zakłady za Ameryką i w równej ilości za Wielką Brytanią, tak jak to bywa na wyścigach konnych. Co zaś do

Danii, Szwecyi, Holandyi i Rosyi, nikomu się i nie śniło, by mogły mieć jakiegokolwiek powodzenie.

Licytacja była oznaczoną na południową godzinę. Od samego rana natłok ciekawych uniemożliwiał ruch na Bolton-Street. Opinia od dnia poprzedniego była niesłychanie wzburzoną. Dzienniki zostały zawiadomione telegraficzną nicią, że większa ilość zakładów, proponowanych przez amerykańców, była robioną przez anglików, a Dean Toodrink natychmiast tę wiadomość polecił rozgłosić w sali licytacyjnej. Powiadano, że rząd angielski oddał jakoby ogromne sumy do rozporządzenia majorowi Donellan... „New-York Herald” podawał do wiadomości, że w biurze admiralicyi lordowie agitowali na rzecz nabycia stref północnych, które jakoby już zawczasu figurowały w nomenklaturze kolonij angielskich i t. d. i t. d.

Co było prawdziwego w tych wiadomościach, co prawdopodobnego w domysłach, trudno było sprawdzić. Ale w dniu tym ludzie rozważni, zamieszkujący Baltimore, sądzili, że jeżeli North Polar Practical Association będzie zmuszoną na własnych poprzestać funduszach, walka skończy się niechybnie zwycięstwem Anglii. Ztąd powstał nacisk, wywierany przez zagorzałych yankesów na rząd Waszyngtona. Wśród całego tego rozgorączkowania Stowarzyszenie, uosobione w niepozornej osobistości swego agenta, Williama S. Forstera, zdawało się nie podzielać wcale tego ogólnego przejęcia, jak gdyby było z góry pewne powodzenia.

W miarę zbliżania się godziny oznaczonej tłum gromadził się coraz gęściej przez całą długość Bolton-Street. Na trzy godziny przed otwarciem podwoi nie można się było docisnąć do sali licytacyjnej. Cała przestrzeń, przeznaczona na pomieszczenie

publiczności, była wypełniona tak, że ściany groziły pęknięciem. Kilka zaledwie otoczonych baryerą miejsc zostało zachowanych dla europejskich delegatów. Należało im się to wyróżnienie, gdyż w razie przeciwnym niepodobnaby im było śledzić przebiegu całej, tak żywo ich obchodzącej sprawy.

Jak tego możemy się domyśleć, w przestrzeni otoczonej baryerą siedzieli: Eryk Baldenak, Borys Karkow, Jakób Jansen, Jan Harald, major Donellan i jego sekretarz Dean Toodrink. Tworzyli oni grupę szczelnie zbitą, która się trącała łokciami, jak oddział żołnierzy, formujący się w kolumnę do ataku. I doprawdy, patrząc na nich, można było sądzić, że idą brać szturmem biegun północny.

Ze strony Ameryki nie ukazał się nikt, prócz znanego nam już cokolwiek agenta składów stokftsza, którego twarz pospolita wyrażała najgłębszą obojętność. Rzecz dziwna, zdawał się on mniej wzruszonym od całego zgromadzenia i myślał prawdopodobnie tylko o umieszczaniu ładunków, które lada chwila miały przybyć z Nowej Ziemi. Gdzież więc kryli się ci kapitaliści, których reprezentował ten niepozorny człowieczyna, obracający w ich imieniu może milionami dolarów? Jak widzimy, nie brakło materiału do zaciekawienia publiczności.

Nikt a nikt nie domyślał się, że J. T. Maston i pani Evangelina Scorbitt byli tak mocno zainteresowani w tej sprawie. Bo i jakim sposobem mógł się ktokolwiek tego domyśleć? Oboje znajdowali się tam jednak, ale zamieszani w tłumie, nie zajmując osobnego miejsca, otoczeni głównymi członkami klubu strzeleckiego, to jest kolegami J. T. Mastona. Zdawali się oni być prostymi widzami, pozornie zupełnie nieinteresowanymi. Sam William Forster zachowywał się tak, jakby nie znał ich wcale.



Nie potrzebujemy powiadamiać czytelników, że wbrew zwyczajowi, panującemu w salach licytacyjnych, przedmiot wystawiony na sprzedaż nie znajdował się tamże pod ręką kupujących. Przecież nie można było brać do rąk bieguna północnego, oglądać go na wszystkie strony, przypatrywać mu się przez szkło powiększające, ani trzeć palcami w celu przekonania się, czy bronzowanie jest prawdziwe czy sztuczne, jak się to robi ze starożytnymi drobiazgami. Starożytnym co prawda był ten sprzęt, obecnie sprzedawany, — starożytniejszym od żelaznego okresu, od okresu brązowego, od okresu kamiennego, to jest od wszystkich epok przedhistorycznych, gdyż sięgał początków istnienia świata.

Jednakże, jeśli biegun nie figurował na biurku taksującego komornika, to wielka karta geograficzna, zawieszona wprost widzów, wyobrażała odmalowane jaskrawymi kolorami zarysy krain północnych. O siedmnaście stopni powyżej koła biegunowego linia czerwona, wyraźnie zakreślona na ośmdziesiątym czwartym równoleżniku, opasywała wkoło część kuli ziemskiej, wystawionej na sprzedaż z łaski skrytych zamiarów North Polar Practical Association. Zdawało się, że kraina ta jest zalana morzem, pokrytem lodową skorupą znacznej grubości. Ale co to mogło kogo obchodzić? Mogło to interesować tylko nabywców, którzy wiedzieli z góry, czego się trzymać, i nie będą mogli się skarżyć, że ich oszukano na towarze.

Równo o samej dwunastej w południe komornik taksujący, Andrew R. Gilmour, wszedł małymi drzwiczkami, ukrytymi w ścianie, podszedł do swego biurka i zajął przy nim miejsce. Woźny Flint, obdarzony grzmiącym głosem, przechadzał się

zwolna wzdłuż baryery, utrzymującej w karbach publiczność, krokiem ciężkim niedźwiedzia, spacerującego po klatce. Obaj ci zacni ludzie cieszyli się wielce procentem, który im miała przynieść sprzedaż, a który z przyjemnością włożą do kieszeni. Niema co i mówić, że kupno miało być robione za gotówkę, bo inaczej w Ameryce nie bywa. Co zaś do sumy samej, to jakabądź byłaby jej wysokość, miała być wypłaconą w całości delegatom, na korzyść państw, którymby biegun nie został przysądzony.

W tejże chwili dzwoniący jak na gwałt dzwon sali oznajmił na zewnątrz — to jest (pozwolimy sobie użyć tego wyrażenia) urbi et orbi, że licytacja miała się zacząć.

Co za uroczysta chwila! Wszystkie serca, tak w sali, jak w mieście całym, uderzyły przyśpieszonym tętnem. Z Bolton-street i przyległych ulic szmer rozgłosny przedarł się przez ściany gmachu i rozszedł się po sali.

Andrew R. Gilmour chciał zacząć swoje czynność, ale musiał czekać, aż ten szmer tłumu, podobny do odgłosu, jaki wydaje morze, pokryte spienionymi falami, ucichnie cokolwiek.

Wtedy powstał i obrzucił spojrzeniem całe zgromadzenie. Zdjął z nosa binokle, które mu opadły na piersi, i głosem lekko wzruszonym przemówił:

— Panowie, wskutek propozycji, zrobionej przez rząd federacyjny, i dzięki zezwoleniu, danemu na tę propozycję, przez różne stany Nowego Świata i Starego Łądu, wystawiamy na sprzedaż nieruchomości, leżące w okolicach bieguna północnego, a opasane ośmdziesiątym czwartym równoleżnikiem, nieruchomości w postaci mórz, łądów, cieśnin, wysp, wysepek, ław lodowych, części stałych i płynnych, jakie

tylko w określonej powyżej przestrzeni mogą się znajdować.

A kierując palec w stronę ściany, mówił dalej:

— Chciejcie rzucić okiem na kartę, skreśloną podług najnowszych odkryć. Przekonacie się, że powierzchnia tej nieruchomości zajmuje blisko czterysta siedm tysięcy mil kwadratowych w jednym ciągu. Otóż, dla ułatwienia sprzedaży, zdecydowano, że ziemie te będą się sprzedawać podzielone na części, zawierające w sobie po tysiąc mil kwadratowych. Trochę ciszej, panowie!

Zalecenie nie było zbytecznym, gdyż niecierpliwość publiczności objawiała się taką wrzawą, że poza nią głosu spełniającego swą czynność komornika słychać prawie nie było.

Skoro zapanowała względna cisza, dzięki głównie wdaniu się woźnego Flinta, który ryczał jak niedźwiedź zraniony, Andrew R. Gilmour zabrał znowu głos w tych słowach:

— Nim zacznę moją czynność, powinienem przypomnieć jeden paragraf, dotyczący aktu sprzedaży, a tym jest, że nieruchomość podbiegunowa będzie uważana za kupioną bez żadnych zastrzeżeń, a jej posiadanie nie może być kwestyonowane przez sprzedających ją w przestrzeni, opasanej ośmdziesiątym czwartym stopniem szerokości północnej, chociażby w przyszłości zaszły jakiegokolwiek zmiany geograficzne lub meteorologiczne.

Zawsze występowało to szczególne zastrzeżenie, figurujące w dokumencie, które jeśli pobudzało jednych do żarcików, drugim poważnie zastanawiało.

— Przystępujemy do licytacji — rzekł komornik taksujący głosem donośnym.

Ręka, trzymająca młotek z kości słoniowej, drgała bezwiednym ruchem, a on tymczasem mówił dalej tonem nosowym:

— Sprzedajemy po dziesięć setnych milę kwadratową.

Dziesięć setnych, czyli jedna dziesiąta dolara, stanowiły sumę czterdziestu tysięcy siedmiuset dolarów za całość nieruchomości północnej.

Zaledwie komornik Andrew R. Gilmour wygłosił te słowa, zabrzmiał głos reprezentanta rządu duńskiego, Eryka Baldenak:

— Daję dwadzieścia setnych.

— Trzydzieści! — zawołał Jakób Jansen w imieniu Holandyi.

— Trzydzieści pięć! — powiedział Jan Harald w imieniu Szwecyi i Norwegii.

— Czterdzieści! — zawołał pułkownik Borys Karkow w imieniu Wszech Rosyi.

Ta ostatnia cyfra przedstawiała poważną sumę stu sześćdziesięciu dwóch tysięcy ośmiuset dolarów, a jednak był to dopiero początek licytacji.

Należy tu jednak zwrócić uwagę, że przedstawiciel Wielkiej Brytanii nie otworzył jeszcze ani razu ust, które najszczelniej zaciskał.

Co zaś do Williama S. Forstera, wielce szanownego właściciela składów stokfisz, zachowywał on zupełne milczenie. A nawet w chwili obecnej zdawało się, że był zupełnie pogrążony w czytaniu „Mercurial of New-Found-Land,” który to dziennik zajmował się daniem sprawozdań o dowozie statków i odbycie towarów na targach amerykańskich.

— Po czterdzieści setnych mila kwadratowa — powtórzył Flint

głosem, którego ostatnie dźwięki przechodziły w śpiew. — Po czterdzieści setnych. Kto da więcej?

Czterej koledzy majora Donellan spojrzeli po sobie. Czyżby ich kredyt był już tak prędko, bo w samym początku walki, wyczerpany? Czyżby milczenie ich było wyływem smutnej konieczności?

— I cóż dalej, moi panowie? — ciągnął Andrew R. Gilmour. — Czterdzieści setnych! Kto da więcej?... Czterdzieści setnych... Przecież ona więcej warta ta skorupa lodowa...

Zdawało się, że doda jeszcze:

— ...Zabezpieczenie na czystym lodzie.

Delegat duński przemówił:

— Pięćdziesiąt setnych.

Delegat Holandyi postąpił na sześćdziesiąt setnych.

— Sześćdziesiąt setnych mila kwadratowa! — krzyknął Flint.  
— Sześćdziesiąt setnych!... Czy nikt nie da więcej?

Te sześćdziesiąt setnych stanowiły poważną sumę dwustu czterdziestu czterech tysięcy dwustu dolarów.

Publiczność przyjęła podwyżkę, zrobioną przez przedstawiciela Holandyi, szmerem zadowolenia.

Rzecz dziwna, a wszakże nawskróś ludzka, że gapie tam przytomni, biedacy bez grosza w kieszeni, zdawali się najwięcej interesować tą walką, w której pociskami były dolary.

Po owym wystąpieniu Jakóba Jansena major Donellan podniósł głowę i rzucił przelotne spojrzenie w kierunku swego sekretarza, Deana Toodrink. Ale na przeczące, zaledwie dostrzegalne skinienie tego ostatniego, nie przerwał milczenia.

Gdy się to działo, William S. Forster, nieustannie zatopiony

w swym dzienniku, robił ołówkiem jakieś notatki na marginesie, zaś pan J. T. Maston odpowiadał kiwnięciem głowy na zalotne uśmiechy mistress Evangeliny Scorbitt.

— I cóż, moi panowie? trochę więcej werwy!... Brak nam energii, odwagi... — ciągnął dalej Andrew R. Gilmour. — I cóż, nikt się nie odzywa?... Więc będziemy zmuszeni zakończyć, przysądzając...

Podczas gdy to mówił, młotek, który trzymał w ręce, podnosił się i opadał, jak kropidło w palcach bedela parafialnego.

— Siedmdziesiąt setnych — wymówił profesor Jan Harald głosem, który drżał lekko.

— Ośmdziesiąt — tuż za nim odezwał się Borys Karkow.

— Ośmdziesiąt setnych... kto da więcej? — krzyknął Flint, którego okrągłe, wyłupiaste oczy błysnęły ogniem zapału.

Gest Deana Toodrink jak sprężyna wysadził z miejsca majora Donellan.

— Sto setnych — powiedział tonem węzłowatym reprezentant Wielkiej Brytanii.

Tem jednym słowem zobowiązywał się w imieniu Anglii na sumę czterekroć siedmiu tysięcy dolarów.

Robiący zakłady za Wielką Brytanią krzyknęli; „hurra!” — które część publiczności jak echo powtórzyła.

Zakładający się za Ameryką spojrzeli po sobie z miną niezadowolenia. Czterekroć siedm tysięcy dolarów! Była to suma wielce poważna w stosunku do wątpliwej wartości tej fantazyjnej strefy podbiegunowej. Czterekroć siedm tysięcy dolarów, ulokowanych na lodowych górach, lodowych płaszczynach, na krach lodowych!

A ów-że agent North Polar Practical Association, który, jak to mówią, pary nie puścił z ust, głowy nie podniósł nawet? Czy on się nie odważy wmieszać do licytacji? Jeżeli zamiarem jego było wyczekiwać, aż póki delegaci: duński, szwedzki, holenderski i ruski — nie wyczerpią posiadanego kredytu, — to chyba już ta chwila nadeszła. I w istocie, postawa, jaką przybrali, wskazywała, że „sto setnych” majora Donellan skłonią ich do opuszczenia pola walki.

— Sto setnych za milę kwadratową — powtórzył dwukrotnie komornik taksujący.

— Sto setnych! sto setnych! sto setnych! — wygłosił raz po raz woźny Flint, robiąc sobie tubę z dłoni wpół zamkniętej.

— Czy nikt nie da więcej? — pytał dalej Andrew R. Gilmour — czy to ma już być koniec?... Czy stanowczo koniec?... Czy nikt się nie namyśli?... A więc będziemy przysądzać...

Mówiąc to, zaokrąglął ramię, które wstrząsało młotkiem, i wodził wyzywającym spojrzeniem po zgromadzeniu, którego gwar ucichł we wzruszającym milczeniu.

— Raz!... Dwa!... — wymówił.

— Sto dwadzieścia setnych — powiedział spokojnie William S. Forster, nie podnosząc oczu od dziennika, którego kartę właśnie odwracał.

— Hip!... hip!... hip!... — krzyknęli jednym głosem wszyscy ci, co szalone zakłady porobili na rzecz Stanów Zjednoczonych.

Teraz major Donellan powstał z kolei. Jego długa szyja poruszyła się mechanicznie powyżej kąta, utworzonego przez dwoje ramion, wargi wydłużały się w kształt dzioba. Wzrokiem rzucał pioruny na niewzruszonego przedstawiciela

Stowarzyszenia amerykańskiego, który nie odwdzieczył mu się nawet spojrzeniem. Ten szatan, wcielony w Williama S. Forstera, nie drgnął nawet.

— Sto czterdzieści — przemówił nakoniec major Donellan.

— Sto sześćdziesiąt — odpowiedział Forster.

— Sto osmdziesiąt — ryknął major.

— Sto dziewięćdziesiąt — wymówił przyciszonym głosem Forster.

— Sto dziewięćdziesiąt pięć setnych! — zawył delegat Wielkiej Brytanii.

Skrzyżował ręce na piersiach, jak gdyby rzucając wyzwanie trzydziestu ośmiu Stanom zjednoczonej Ameryki.

Można było usłyszeć chód mrówki, płynienie ryby, lot motylka, pełzanie robaczka, ruch mikroba. Wszystkie serca biły przyśpieszonym tętnem. Zdawało się, że życie tych wszystkich ludzi zawisło na ustach majora Donellan. Głowa jego, tak zazwyczaj ruchliwa, zdawało się, skamieniała odrazu, zaś Dean Toodrink z wielkiego wzruszenia tarł sobie tył głowy tak, że zdawało się, iż zedrze skórę wraz z włosami.

Andrew R. Gilmour przeczekał jeszcze chwil kilka, które wydawały się „jak wieki długimi.” Depozytariusz stokfiszów nie przestawał czytać swego dziennika, kreśląc ołówkiem cyfry, widocznie niemające żadnego związku z bieżącą sprawą. Czy i jego kredyt był już wyczerpany? Czy nie chciał do sumy wyżej ofiarowanej dorzucić ani jednego dolara? Czy też może owa suma stu dziewięćdziesięciu pięciu setnych za milę kwadratową, czyli przeszło siedmset dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów za całą nieruchomość, przekraczała, jak sądził, granice



niedorzeczności?

— Sto dziewięćdziesiąt pięć setnych! — zabrzmiał znowu głos komornika taksującego. — Czy nikt nie da więcej?

I młotek jego zawisł znowu w powietrzu, gotów opaść na stół.

— Sto dziewięćdziesiąt pięć setnych — powtórzył, jak echo, woźny.

— Przysądzać!... Przysądzać!

Te słowa, rzucone w formie nakazu przez kilku niecierpliwych widzów, były jakby naganą wahania Andrew R. Gilmour'a.

— Raz... dwa!... — krzyknął.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na przedstawiciela North Polar Practical Association.

I cóż! ten niepojęty człowiek, zamiast okazać jakiegokolwiek zainteresowanie, wyciera z największą starannością swój nos w wielką fularową chustkę w kraty.

Jednakże spojrzenia pana J. T. Maston wbijały się w niego uporczywie, podczas gdy oczy mistress Evangeliny Scorbitt szły w tymże samym kierunku. Poznać można było po bladości ich twarzy, jak gwałtowne było wzruszenie, nad ktorem zapanować usiłowali. Bo i dlaczegoż William S. Forster wahał się podkupić majora Donellan?

William S. Forster utarł nos po raz drugi, trzeci, z odgłosem petardy fajerwerkowej. Ale w przerwie pomiędzy dwiema ostatnimi petardami wyszeptał zcicha i skromnie:

— Dwieście setnych!

Przeciągłe drzenie przebiegło salę. Rozległy się hip, hip! amerykańców, od których aż szyby zadzwoniły.

Major Donellan, zmiażdżony, zdruzgotany, zniweczony, opadł na ławę obok Dean'a Toodrink, niemniej zbolełego, jak on sam. Kupując za wymienioną cenę milę kwadratową, całość wyniosłaby ogromną sumę ośmiuset czterestu tysięcy dolarów, — było więc widocznem, że kredyt Wielkiej Brytanii nie pozwalał jej przekroczyć.

— Dwieście setnych! — powtórzył raz jeszcze Andrew S. Gilmour.

— Dwieście setnych! — wrzasnął Flint.

— Raz... dwa!... — ciągnął dalej komornik. — Czy nikt nie da więcej?...

Major Donellan, poruszony jakby stosem elektrycznym, powstał znowu, spojrzął na innych delegatów. Oni uważali go za ostatnią deskę ocalenia, ufali, że przeszkodzi zagarnięciu bieguna północnego z krzywdą mocarstw europejskich. Ale wysiłek ten był już ostatnim. Major otworzył usta, potem zamknął je, w końcu osunął się zgnębiony na ławę, uosabiając zgnębienie i upadek Anglii.

— Przysądzono! — zawołał Andrew S. Gilmour, uderzając w stół końcem młotka z kości słoniowej.

— Hip! hip! hip! Stany Zjednoczone! — zawyli wygrywający stronnicy zwyciężkiej Ameryki.

W mgnieniu oka wieść o dokonaniem kupnie rozeszła się po wszystkich cyrkułach Baltimore, potem zapomocą nici telegraficznych po powierzchni całego Związkowego Państwa, potem nicią podwodną wtargnęła na Stary Łąd.

Tak tedy North Polar Practical Association stawała się właścicielką, zapomocą podstawionego w tym celu Williama S.

Forstera, krajów północnych, zawartych we wnętrzu ośmdziesiątego czwartego równoleżnika.

Nazajutrz William S. Forster złożył urzędową deklarację, że nabył rzeczony kraje z polecenia i na rzecz Impey'a Barbicane, w którego osobie wcielone było amerykańskie Stowarzyszenie pod nazwą: Barbicane and Co.

## Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

